

B: Od jak dawna mieszka Pani w [m2] i w jaki sposób by je Pani scharakteryzowała?

R: Mieszkam od siedemdziesiątego dziewiątego roku, tak można powiedzieć.

B: Ale jest Pani stąd czy nie?

R: Nie, ja urodziłam się obok, w takiej małej miejscowości, potem uczyłam się tutaj, a potem wyjechałam do pracy, do Wielkopolski. Tam spędziłam trochę lat, wróciłam tutaj w momencie, w którym wyszłam za mąż. Dostałam to mieszkanie po starej przychodni. Tak moje losy się tutaj związały z tym miastem. Z pracą bardzo.

B: A czym się Pani dokładnie zajmuje?

R: Jestem pielęgniarką. Przez parę lat pracowałam na oddziale dziecięcym. Zawsze chciałam pracować z dziećmi, od początku, jak kończyłam szkołę. Potem także pracowałam z dziećmi, ale już bardziej drastyczne, że tak powiem, były te nasze kontakty; byłam pielęgniarką zabiegową, szczepiłam dzieci, pracowałam w gabinecie zabiegowym, więc to też się wiązało z dużym cierpieniem dzieci. Na oddziale są jeszcze takie momenty, że możemy dziecko przytulić, pogłaskać, natomiast tutaj to już jest taka czysto techniczna praca. Natomiast stosunek do matki, do dziecka, też się zdarzy. Głównie niestety przynosiłam trochę bólu tym moim dzieciom. Musiałam zawsze sobie tłumaczyć, że to jest im potrzebne. Do dzisiaj Kocham dzieci, teraz pracuję już tylko w szkołach. Mam sześć szkół różnych, jedną szkołę mam tutaj, jedną na takiej większej wsi i cztery małe szkoły w różnych miejscowościach wokół.

B: A to są szkoły podstawowe?

R: Wcześniej to było gimnazjum, teraz jest niestety szkoła podstawowa. A tamte szkoły są małe, chodzą tam dzieci od przedszkola do klasy trzeciej, a potem idą tutaj, do miasta. Tak, że jeżdżę, jak Pani widzi – bez samochodu ani rusz. Wszystko mam w samochodzie. Wszystko tam wożę. Jeszcze mam mecz w niedzielę z dziećmi, zabezpieczenie medyczne. Więc ta praca jest cały czas z dziećmi, jest mi trudno pracować z dorosłymi, nie mam aż takiej cierpliwości dla osób dorosłych. Może dlatego, że czasami obserwowałam, albo miałam wrażenie takiego wykorzystywania; niekoniecznie ta pomoc jest zawsze potrzebna. Potem myślałam, że może ktoś inny bardziej potrzebuje, czy akurat ta pani nie zdawała sobie z tego sprawy... Chociaż nie zawsze też człowiek może to powiedzieć. Ale z dziećmi mam dobry kontakt, mimo mojego wieku, może dlatego też jest mi łatwiej iść z duchem czasu.

B: Ja myślę, że dzieci mają też coś takiego, że one są bardziej przejrzyste. Pokazują czy im się coś podoba, czy nie podoba. Mam wrażenie, że z dziećmi komunikacja jest łatwiejsza niż z dorosłymi. To jest taki paradoks.

R: Ja absolutnie żyję według tej zasady. Dziecko, jeżeli się czuje z kimś źle, może czasem nie powie, ale odwróci się demonstracyjnie i wyjdzie. Po prostu nie podoba się, więc wychodzi. Albo mówi tak jak czuje. Nie ma takiego udawania. Dla mnie to jest najmiłsze, jeżeli chodzi o kontakty z dziećmi.

B: Czyli zna Pani pokolenia i to tutaj, w [m2].

R: Tak.

B: Czyli ma Pani obserwacje na temat tego, jacy ludzie mieszkają tutaj? Jaki jest klimat? Jest coś charakterystycznego dla [m2]?

R: Wie Pani co, chyba tak bym tego nie nazwała jednym słowem. To jest naprawdę taki ogromny konglomerat ludzi. Myślę, że od ludzi bardzo wyważonych, po takich jak wszędzie. Nie sklasyfikowałabym, że mamy jakiś rodzaj. Tu jest tygiel wymieszany. Teraz już chyba zupełnie zatarły się wszystkie różnice... To co obserwowałam kiedyś, były osoby, które przyjechały z Białorusi, z Ukrainy, tam oni bardziej zachowywali swoje obyczaje, taką hermetyczność. W tym momencie ja już tego nie obserwuję. Już chyba nie ma takich małżeństw...Może Łemkowie... U nas jest bardzo dużo, jest cała wioska. Ludzie są precudowni, naprawdę

ich lubię. Znam tam niektórych mieszkańców. Nigdy nie odczułam tutaj żadnych podziałów, że ktoś jest lepszy, albo gorszy. Jako dziecko tak to widziałam.

B: Pytałam też o to w takim kontekście, czy miasto ma jakąś swoją właściwość. Jak mieszkam w [duże miasto w woj. wielkopolskim] to tego nie widzę, ale jak pojedę do [duże miasto w województwie lubuskim], to odnoszę takie wrażenie, że tam każdy chce ze mną rozmawiać. Gdzie się nie wejdzie, każdy chce sobie coś więcej niż zwykle „Dzień dobry” powiedzieć. Tak oni się zachowują. [duże miasto w woj. wielkopolskim] jest dobrze zorganizowany...

R: Tak, z tym się zgodzę, rzadko tam bywam, ale potrafię się tam odnaleźć. Aczkolwiek, ja uważam, że tam jeżdżą bardzo agresywnie. Jak jeżdżę do [duże miasto w woj. wielkopolskim] mam oczy dookoła głowy. Nie widzę tego w [duże miasto w woj. zachodniopomorskim], [duże miasto w woj. dolnośląskim]... W [duże miasto w woj. wielkopolskim] natomiast jest strasznie. Niedawno byłam i właśnie pomyślałam, że albo ja za wolno jeżdżę, albo mam za wolny samochód. (*śmiech*)

B: Ale tu jest inne tempo życia, do czegoś innego jest pewnie Pani przyzwyczajona.

R: Nie, ja żyję szybko, nawet obserwując moje koleżanki, to uważam, że żyję szybko. Naprawdę mam mało czasu. Biegam na angielski raz w tygodniu, zajmuję się sprawami firmy, którą otworzyłyśmy, więc mam też mało czasu, bo to się wiąże z taką pracą sprawozdawczą. Robię wszystkie faktury związane z firmą. Jak się ma tyle szkół, to czasami też przynosi się do domu część pracy. Lubię upiec różne rzeczy, to jest taka moja działka, którą uwielbiam. Naprawdę szybko żyję. Jak przychodzi godzina dwudziesta druga, to ja już czuję zmęczenie; ale może to jest w tej chwili taka obrona, żeby nie zwariować, nie popaść w depresję. Tej pracy sobie troszeczkę za dużo narzuciłam, może zbyt intensywniej... Wydaje mi się, że ludzie powinni odpoczywać. Ale im dłużej pracuję, tym bardziej dochodzę do wniosku, że praca ma coś takiego, jakby zmuszała człowieka do normalnego życia. Załatwiam wszystko to, co jest po drodze i koniec. Nie ma takiego planowania bardzo długiego. Ogólnie wydaje mi się, że w [m2] są ludzie mili, ja nie mam jakichś kłopotów. Nie mogę powiedzieć, że są tu jakieś naleciałości. Wśród moich przyjaciół są osoby, które przyjechały ze wschodu... Nawet jak czasami się gościmy, to mam wrażenie, że nawet potrawy robimy podobne. W tej chwili to wszystko się tak zmieniło, że te potrawy są wszędzie takie same. Nawet ja jestem ewenementem, bo ja robię inne rzeczy... Mi się wydaje, że to wszystko się zlewa w całość. Nie widzę jakichś różnic, jako dziecko widziałam.

B: A co było taką podstawową różnicą, którą widziała Pani jako dziecko?

R: Przede wszystkim hermetyczność tych społeczności. Dzieci oczywiście bardzo chętnie się bawiły, moi rodzice nam nie zabraniali. Uważali, że to jest tak normalne. Moi rodzice pochodzą z Wielkopolski, moi dziadkowie się tutaj przenieśli ze względu na powojenne reperkusje. Babcia była bardzo wykształconą kobietą, pracowała w więzieniu, mieli dosyć spory majątek. Jak przyszło wojsko rosyjskie, to troszeczkę musieli uciekać, chowając swoje wykształcenie i rzeczy. Niektóre rzeczy przejęłam od dziadków. Cepeliny to jest taka potrawa typowo litewska, mój dziadek nauczył mnie i moją mamę. On był osobą, która rzeczywiście się interesowała. Z potraw, które robię do dzisiaj, to są jeszcze szare kluski... A jeżeli chodzi o moją mamę, to część jej rodziny pochodzi ze Śląska, więc od niej mamy dużo takich rzeczy jak rolady... Spotkały się dwa, bardzo różne światy. Wypieki z kolei dostałam w spadku od mojego teścia, który był piekarzem. Takie kombinacje, co można z czym połączyć... Kiedyś nie było tak, że siadało się do internetu. Ja oprócz pomocy, to pomagałam też przede wszystkim dlatego, żeby się poduczyć. Akurat z mojej rodziny, z różnych stron, mam takie doświadczenia. Pewne tradycje już zniknęły, ale wiadomo, że jak przychodzą goście, to człowiek się jakoś stara przygotować.

B: A woli Pani przyjmować gości, czy bywać u kogoś?

R: Zdecydowanie bardziej wolę przyjmować gości.

B: Dlaczego?

R: Kocham kuchnię, kocham przygotowywać, lubię piec; ja się odstresowuję wtedy. Tak jak ludzie wchodzą do kuchni i są nerwowi, to ja absolutnie nie. Ja się w kuchni czuję znakomicie. Potrafię wymyślić, potrafię połączyć czasem dziwne rzeczy, dlatego lubię zaskakiwać czymś gości.

B: A kto na ogół Panią odwiedza?

R: Mam przyjaciół starych. W tej chwili, ze względu na to, że moi rodzice nie żyją, to troszeczkę mnie przydeptało. Ja miałam pięć siostr, wszystkie mają swoje domy, wszystkie swoje dzieci. Oczywiście jest mnóstwo tych siostrzenic i siostrzeńców, aczkolwiek rozpieczęły się już po całej Polsce. Wiadomo, że odwiedzają rodziców, przy okazji odwiedzają ciocię, albo ciocia tam jedzie, żeby się zobaczyć. To jest taka więź, która nam zostaje, którą się raczej pielęgnuje. Tutaj rodziny są z sobą zżyte bardzo, chociaż może nie do końca... Widzę w niektórych sytuacjach, że to już jest troszeczkę inaczej. Kiedyś rodzina to była bardzo, bardzo ważna rzecz. Ja to z mojej obserwacji widzę, że to już nie jest pierwsze miejsce. Czasami wybiera się przyjaciel na pierwszym miejscu albo się goni za pracą. W tej chwili młodzi ludzie mają mało czasu. Bardzo muszą intensywnie pracować. Ja nie twierdzę, że ja nie pracowałam intensywnie; szłam na godzinę wpół do ósmej do pracy, miałam jedną córkę starszą, która w tej chwili ma czterdzieści dwa lata. Młodsza córka urodziła się dużo później, bo tak planowałam ze względu na stan zdrowia. Ale jak zobaczyłam, że jest samotna, to urodziła się druga córka. Dziewczęta zostawały w przedszkolu to godziny szesnastej, trzeba było jeszcze pobiegać i zrobić zakupy, które nie były proste... Ja się cieszę, bo moja mama nauczyła mnie wszystkiego. Jaka różnica była pomiędzy tamtymi świętami, a tymi, które ja teraz robię. Zawsze się planowało. Wszystko było własne. Były owoce, które mieliśmy... Warzywa... Zawsze planowało się zabijanie świnki. To było przed świętami. Mieliśmy własny ser, jajka. Absolutnie moja mama mogła tylko się skupić na kupowaniu prezentu. Ważne było kupienie kakao, które się wykorzystywało do pieczenia. O takich rzeczach mama musiała bardziej myśleć; ja nie, bo teraz idę do sklepu i to wszystko kupuję. Tak, że ja idę do sklepu i wszystko kupuję. Moja mama nauczyła nas przetworzenia wszystkiego. W tych najtrudniejszych czasach, kiedy trzeba było stać w kolejce, ja potrafiłam na wsi kupić mięso i zrobić sama kielbasę, przetworzyć to wszystko i zrobić takie przetwory, które też się wykorzystywało szybko, jak było mało czasu po przyjeździe do domu, żeby zrobić przyzwoity obiad. Moja mama tego nigdy nie robiła, bo ona przygotowywała codziennie obiad, na bieżąco. Nie było tak, że coś było odgrzewane. Nie było odgrzewanych zup, ja tego nie pamiętam. Wtedy mi było źlej. Ja naprawdę potrafiłam kupić dużą ilość mleka, śmietany, zrobić sobie ser... Tak jak dzisiaj słucham dzieci, one nie zdają sobie sprawy skąd się bierze masło! One myślą, że to jest ze sklepu. Nie jest potrzebna żadna krowa, którą trzeba wydoić; nie jest potrzebne żadne mleko, które trzeba odcedzić. Nie znają tego cyklu produkcyjnego. Starszą wnuczkę oswajałam z tym wszystkim, na ile to było możliwe. To są bardzo ważne informacje. Moja mama zawsze mówiła, że nie wiemy, kiedy nas coś spotka. Musimy wszystko umieć zrobić, bo życie czasami pisze różne scenariusze i może kiedyś będziemy musiały sobie poradzić z różnymi sytuacjami. Robić na drutach, coś przerobić, podszyć – ja to wszystko wyniosłam z domu, tak jak robienie jedzenia.

B: Mówiła Pani, że z ludzi, którzy Panią odwiedzają to przyjaciele, rodzina i tak dalej. Proszę mi powiedzieć, czy to są takie wizyty zapowiadane? Niezapowiadane? Jak to wygląda? Czy to jest tak, że Pani ogłasza, że będzie jakieś spotkanie? Pytam o to dlatego, że u każdego jest inaczej.

R: Powiem Pani tak, mam taką przyjaciółkę, pracuje bardzo ciężko w sklepie. Ona ma tutaj swoje kapcie, one zawsze tutaj leżą. Jak ona jest zmęczona i ma ochotę się odstresować, to ona nawet nie dzwoni, tylko stuką w drzwi. Mówi, żeby jej szybko zrobiła kawę i pada w tych swoich kapciach. Ma zmęczone nogi, siadamy w kuchni i ona mówi, że nic nie włączamy, tylko patrzymy na siebie i rozmawiamy. Mam takie wizyty. Ale mam też takie wizyty, że ktoś dzwoni i mówi, że wpadnie, bo mamy coś do obgadania. Dlaczego nie? Są też takie oficjalne, kiedy to ja zapraszam. Imieniny świętuję tak, by móc przyjąć rodzinę, to już jest taka nasza tradycja. To jest to, co moja mama nam przekazała; tak samo jak to, że w Wigilię, gdyby ktoś

przyszedł to by się go zawsze przyjęło. Zawsze będzie ten talerz, który zawsze będzie gotowy. Zawsze staram się też, że jeżeli ktoś ze znajomych jest sam, albo jeżeli ktoś jest chory, to wiadomo, że wtedy na pewno takie osoby zapraszam. W tym roku też jest tak podobnie, nie będzie to nasza rodzina, ale osoby spoza rodziny; obydwójce są mocno chorzy i będzie im przyjemnie.

B: Mówiła Pani o tych różnych rodzajach wizyt, że jest koleżanka, która wpada, że są wizyty proszone, imienninowe...

R: Tak, to właśnie wtedy się spotykam i mówię, że w styczniu robię moje zaległe imienniny.

B: A przyjmuje Pani w domu, czy gdzieś indziej Pani organizuje spotkanie?

R: Najczęściej w domu, ale ze względu na czasy i moją ciekawość innych potraw, zapraszam gości do takiej restauracji, w której chciałabym coś nowego spróbować.

B: A są tu takie miejsca w tym mieście?

R: Tutaj nie. Poza [m2]. Nie zaprosiłabym nikogo do tych naszych restauracji. Bardzo lubię taką restaurację po rewolucjach Magdy Gessler i uważam, że tam jest fantastyczny kucharz, znakomite potrawy. Nigdy nie trafiłam, że coś było nie tak. Znam jeszcze jedną w mieście niedaleko, to jest taki zamek. Mam też dwie ulubione restauracje w [średnie miasto w woj. wielkopolskim]. Ja też dużo społecznie pracuję. Czasem się umawiamy w różnych miejscach, bo to ciężko by było tak wyodrębnić. Mam swoją ukochaną kawiarnię, gdzie się czasem spotykam ze znajomymi. Wszyscy ją pokochali tak samo jak ja. Tak, że to jest różnie. W moim domu nie było alkoholu na przyjęciach, w ogóle. Ja też preferuję spotkania bez alkoholu, aczkolwiek jak wyjdę i jest gdzieś alkohol, to nie przeszkadza mi to. Ja jestem osobą niepijącą, nie lubię wina, nie lubię piwa. Nawet jeżeli to są spotkania grillowe, bo takie też przecież są, spotkania w ogródku, lub nad jeziorem, to ja nigdy nie piję. Nie przeszkadza mi to, ale nie mam też znajomych, którzy by się upili, lub byłyby niesmaczne wspomnienia po. Moja mama też robiła wina, ale to wszystko musiało być w odpowiedniej atmosferze. U mnie wszystko można znaleźć, poza alkoholem. (*śmiech*)

B: A proszę mi powiedzieć, czy są tacy goście, którzy zostają u Pani na noc?

R: Był taki okres jak mój mąż był chory, to trwało dobre dwa lata, więc wtedy nie, zważywszy na jego stan. Ale tak, to znajomi przyjeżdżają i zostają na noc. Rodzina czasami zostaje na noc, między innymi musiałam zmienić kanapę. (*śmiech*)

B: A proszę mi powiedzieć, jak już goście przyjeżdżają na noc, to są te zapowiedziane wizyty? Czy zdarza się, że ktoś tak spontanicznie wpada i stwierdza, że zostanie na noc?

R: Wie Pani, to się zmieniło... Kiedyś bywało tak, że były to odwiedziny niby krótsze, a potem konieczność sprawiała, że był też nocleg. Kolej na przykład zawiąło albo coś takiego. Były takie sytuacje. Ktoś się źle poczuł i wiadomo było, że nie pojedzie. Sytuacje były różne. Teraz rzadko się to zdarza, że ktoś przychodzi na chwilę i zostaje. Tak to raczej nie.

B: A proszę mi powiedzieć, na ile najdłużej ktoś przyjeżdża, że zostaje na noc?

R: Oj, to na tydzień...

B: A lubi Pani takie wizyty z noclegami?

R: Nie przeszkadzają mi. W większości są to osoby, z którymi jestem zżyta, jestem blisko. Często taka moja przyjaciółka z [duże miasto w woj. małopolskim] przyjeżdża. Ona przyjeżdża czasami nawet na dwa tygodnie. Mimo, że ja chodzę do pracy, to ona sobie tutaj organizuje część dnia, w której mnie nie ma, a potem ja staram się jej coś zorganizować. Tutaj wkoło jest pełno ciekawostek do zobaczenia. Ja jestem wszędobylska, tak że dużo ładnych zakątków znam. Czasami właśnie zabieram ją, albo takie zaprzyjaźnione małżeństwo;

oni są znad morza, to dla nich to jest zupełnie inny teren. Ale to już się tak wtedy umawiamy, że oni przyjeżdżają. To są też bardziej znajomi mojego męża, ale ja też się z nimi zaprzyjaźniłam. Oni przyjeżdżają, żeby zobaczyć grób, ale jako że to jest duża odległość, a oni mają swój wiek, to ja jeżdżę tam i z powrotem. To jest kawałek drogi, więc jest zmęczenie, dlatego więc ktoś nie ma odpocząć dzień lub dwa. Poza tym kiedy jest okres wakacyjny, wtedy szkoły są zamknięte, ja mogę tego czasu więcej poświęcić osobom. A tak, to zostają nam popołudnia.

B: Czyli tak jak słyszę, ma Pani styl bycia gospodarza, że lubi Pani, jak goście czują się swobodnie.

R: Przede wszystkim!

B: Jest Pani zawsze gotowa, żeby przyjąć gości? Wyobraźmy sobie taką sytuację, ma Pani harmider, jest Pani niegotowa i nagle ktoś dzwoni, że jest obok. Wpuściłaby Pani znajomego?

R: Oczywiście, że tak! Miałam taką sytuację nawet niedawno. Pan kończył malowanie, stała drabina, były jeszcze papiery złożone, a ktoś tu akurat wpadł. Ja tylko powiedziałam, że jak najbardziej zapraszam, napijmy się kawy, ale będzie miał tutaj drabinę stojącą. Jak mojemu gościowi nie przeszkadza, to dlaczego mi ma przeszkadzać? Musi po prostu zrozumieć.

B: Różne są podejścia, są tacy, którzy nie wpuszczają...

R: Mam taką znajomą, która ma zajęty piątek. Wszyscy o tym wiedzą, że w piątek się do niej nie dzwoni, w piątek się do niej nie jeździ, dom jest zamknięty i to jest dzień dla niej. Robi sobie spa – dla twarzy, dla włosów, dla ciała. Czy ja jestem zawsze przygotowana? Nie, nie zawsze. Są takie okresy, kiedy mam więcej pracy, kiedy coś załatwiam. Moja córka pracuje z zięciem, mają córeczkę. Mieszkają sto kilometrów ode mnie, ale czasem mają taką sytuację, że nie mogą jej odebrać. Ja wtedy kończę pracę o czternastej, idę do dyrektora i mówię, że muszę wyjść, bo o piętnastej muszę wnuczkę odebrać. Ale wiadomo, że jak ja pojedę te sto kilometrów, to muszę poczekać na tę moją córkę, już ten cały dzień jest stracony. Wrócę późnym wieczorem, a tu ktoś mówi, że wpadnie do mnie na chwilę. Nie ma sprawy, ale gość wtedy dostaje herbatę. Różne są sytuacje, to nie jest tak, że jestem idealna i wszystko mam. Jestem wegetarianką, więc często czegoś nie mam. Jakby mnie Pani poprosiła o masło, to bym miała problem. To nie jest też tak, że ja załamuję ręce i nie przyjmuję, bo nie mam co dać, zawsze coś się wykombinuję.

B: A pamięta Pani jakąś taką wizytę gościa u Pani, która była dla Pani niekomfortowa? Na przykład gość się zasiedział... Ma Pani coś takiego w pamięci?

R: Tak, tak... Ale to są dosyć odległe, stare czasy i powiem Pani, że nawet nie chciałabym ich wspominać. To się wiąże z tym, że moje pierwsze małżeństwo było tragiczne, rozwiedliśmy się, ale w tym okresie mój mąż był niezrównoważony psychicznie, a wcześniej tego nie zauważałam. Był też alkoholikiem, dlatego u mnie w domu nie ma alkoholu. To jest taki rodzaj wizyt jego kolegów.

B: No tak, bo to jest przeciąganie czasu...

R: Gaszenie petów w dywanie... Wszystko to przeżyłam.

B: Tak, to są wizyty, które dotkliwie naruszają spokój, porządek...

R: Wszystko naruszają. Wiąza się także z nieprzyjemnymi odczuciami w stosunku do mnie; jeżeli ja staram się kogoś przyjąć, mimo wszystko, to potem trudno było mi przyjąć zachowanie tej osoby w stosunku do mnie. Wszyscy mnie postrzegali, z grona mojego męża, że jestem sekutnicą... Trochę tak byłam przedstawiana.

B: A proszę mi powiedzieć, skąd goście wiedzą, ile mogą siedzieć u Pani?

R: Czy ja wyznaczam czas? Nie, chyba nie... Powiem, że spontanicznie to wszystko się dzieje.

B: Czy Pani komunikuje jasno, że ma Pani tyle i tyle czasu? To jest Pani styl?

R: Aż tak, to nie. Czasami bywam zmęczona i wtedy mówię, że posiedzimy chwilę, albo ja wpadnę do kogoś, ale dosłownie na chwilę. Są takie sytuacje, kiedy mówię o swoim czasie, ale to rzadko. Ja ogólnie lubię kontakty z ludźmi. Bardzo lubię rozmowę. Mój mąż był fantastycznym człowiekiem, poświęciliśmy sobie każdą wolną chwilę. Niezależnie od tego czy byliśmy wśród znajomych, zawsze czuliśmy, że jesteśmy razem. Nasze odczucia, jeżeli chodzi o jego przyjaciół i moich przyjaciół, były identyczne. To się chyba rzadko zdarza. Ja bardzo szybko zaakceptowałam jego przyjaciół, natomiast on wszystkich moich akceptował od razu! To taki dziwny świat i on się zderzył niesamowicie. Moi przyjaciele do dzisiaj bardzo żałują, że go nie ma. Jego przyjaciele mieszkają nad morzem i ja bardzo żałuję, że nie możemy częściej się widywać. Taka jest kolej rzeczy, trochę za daleko.

B: A Wigilia odbywa się u Pani?

R: Tak.

B: I kto wtedy przychodzi na tę Wigilię?

R: Przeważnie jakaś osoba jest, którą zapraszamy. Ale przeważnie są to moje dzieci z wnukami. To jest taka bardzo rodzinna uroczystość. Z siankiem koniecznie. Mamy też taki zwyczaj, który wyniosłam z domu, że pod ostatni talerzyk kładzie się drobny pieniążek i łuskę z karpia. Potem się to wkłada do portmonetki. Bierze się jeszcze ość z ryby. Moja mama zawsze mówiła, że to przynosi szczęście przez cały rok i nie będzie brakowało jedzenia. Tak mi to głęboko zostało, że moje dziewczyny do dzisiaj robią to samo. Jak wigilie były u każdej z nich w domu, to one robią dokładnie to samo. Mały taki rytuał, który się przyjął. Oczywiście oprócz sianka...

B: Dobrze, teraz będziemy się przyglądać drugiej stronie, czyli byciu gościem. Chciałabym, żeby opowiedziała mi Pani o tym, jak często, kogo najczęściej Pani odwiedza?

R: To jest absolutnie tak samo, jak z wizytami do mnie. Bywam u przyjaciół. Pojedynczo u przyjaciółek i u rodziny oczywiście. Okazje są absolutnie różne; od takich dokładnie zaplanowanych, do takich spontanicznych, żeby przyjechać, bo ktoś ma problem. Moja siostra mieszka pod [m2], wybudowała dom. Jest też zapaloną ogrodniczką, więc ja też tam jadę, żeby się odstresować patrząc na jej przepiękne kwiaty. Czasem też są wypadki, że jedziemy nad jezioro, bierzemy grill. Ja tego nie jem, ale wtedy robię sobie sałatkę. Ktoś kto zaprasza, też wie, że jestem wegetarianką, więc też bierze coś innego. Okazje są naprawdę bardzo różne. Od tych takich bardziej spontanicznych, do tych bardziej zaplanowanych, na które jestem zapraszana na przykład telefonicznie. Moja przyjaciółka miała niedawno swoje imieniny i urodziny w jednym dniu. Kiedyś dawano dzieciom imiona z dnia, w którym się urodziły. Były bardzo uroczyste urodziny. Ona takie robi co roku. Oni mają większą rodzinę niż ja, więc ja jestem tam jedną z niewielu przyjaciół...

B: Jak się wtedy Pani czuje, jako ta jedna z niewielu?

R: Znam całą tę rodzinę, więc tam się czuję dobrze... Ale ja mam coś takiego w sobie, że jak za długo siedzę i widzę jak moja przyjaciółka ciągle biega, a ja tylko siedzę... Oni też robią dużo więcej potraw. Ja po pierwsze staram się nigdy nie jeść dużo. Męczy mnie taka zbyt duża ilość potraw! Ja sama też tak robię, ale u siebie tego nie widzę!

B: A to jest ciekawe, że my Polacy tak mamy, że zawsze jest za dużo tego jedzenia.

R: Tak, ja kiedyś szykowałam znacznie więcej! Moja mama też... Ja bardzo lubię przyjmować, ale gorzej się czuję jako gość. Po pewnym czasie czuje się zmęczona, ciężka, za długo mi się siedzi. Na bardzo oficjalnych bankietach i przyjęciach mam ochotę wstać, poruszać się, mimo, że są rozmowy fajne i ciekawe. Mam takich przyjaciół, że są to spontaniczne śmiechy i wybuchy, człowiek jest naprawdę odstresowany od tego śmiechu, ale już czasem przychodzi moment, że by się wstało.

B: A które wizyty, na które się Pani udaje jako gość są najgorsze? Jakby je miała Pani określić? Takie, które są najtrudniejsze, albo są największym wyzwaniem?

R: Nie lubię chyba takich bardzo oficjalnych bankietów nie z przyjaciółmi. Bardziej od strony, gdzie pracuję społecznie, gdzie są notable jacyś, gdzie atmosfera jest sztuczna... Każdy jest usztywniony, bo trzeba się zachować; rozmowy są sztuczne. Na takich się czuję źle. Lepiej jest na takich, gdzie jest stół szwedzki. Człowiek wstaje, potem może usiąść koło kogoś, kogo się bardziej zna... Nie trzeba tej etykiety sztywno przestrzegać. Za takimi przyjęciami nie przepadam. Nie czuje się tam prawdziwie. Muszę uważać, czy łyżeczkę mam tak albo tak. Mimo, że człowiek jest nauczony takich rzeczy, ale jest to takie sztywne i sztuczne. Chwilami bywa to nawet nieprzyjemne. Jest takie grono, które zajmuje taką część i jest cisza; ja też powinienam coś powiedzieć, ale ja nie wiem co powiedzieć! Jak znam osoby, to czuję się lepiej. Nawet jak są wigilie w dużym gronie, bo bywam na takie zapraszana, to nie jest to szczyt mojego dobrego samopoczucia. Owszem, jestem osobą komunikatywną, nie mam problemu, uśmiecham się do ludzi, ale są sytuacje, kiedy, że aż kipię, bo nie wiem co wypada! Wtedy się człowiek czuje źle. Ale takich innych to nie mam. Wśród przyjaciół się naprawdę czuję dobrze. Jeżeli coś mi nie leży, to mówię. Nie lubię tylko namawiania do alkoholu. To się czasem jeszcze zdarza, mimo, że wszyscy wiedzą, że ja alkoholu nie piję. Są wyjątki, kiedy wypiję czasem jakiś koniaczek symbolicznie. Nawet nie lubię jak kogoś innego się namawia.

B: A jak Pani myśli, skąd się bierze to namawianie do alkoholu?

R: To jest tradycja. W mojej rodzinie akurat jej nie ma. Jeżeli był jakiś alkohol, to delikatne wino... To tylko jak były jakieś śpiewy, moi rodzice siadali przed domem, przychodzili przyjaciele... Szczególnie latem i wtedy się jakieś wino wypilo. Pamiętam właśnie te wczesne czasy kawy albo herbaty. Robiło się też jakieś piwo imbirowe... Moja mama robiła. Czasami coś takiego się piło. Ja nie pamiętam smaku, bo rodzice by nam się nigdy nie pozwolili napić. Ja mogę się zapytać, czy ktoś ma ochotę się napić, bo wiem, że są osoby pijące. Ale każdy wie o moim byłym mężu i mnie nie namawia. Na takich oficjalnych spotkaniach nie każdy mnie zna i wtedy się zaczyna to namawianie. Ja się tłumaczę, że jeżdżę samochodem. To jest jeden z pierwszych czynników, który decyduje o tym, że ja nie piję alkoholu, a po drugie nie lubię alkoholu. Rzeczywiście, w niektórych gronach zdarzają się takie rzeczy. Natomiast w naszym gronie nie, w rodzinie nie... Nie ma też tak, że jak nie ma alkoholu, to przyjęcie się nie odbędzie. Tak, że tutaj można powiedzieć, że jesteśmy na takim poziomie, z którego ja się cieszę. Może to też jest taki czynnik, który zbliża ludzi. Jeżeli coś ludzi dzieli, jakaś chęć do alkoholu i niechęć z drugiej strony, to trudno, żeby doszło do takiego zbliżenia, raczej to są dwie rzeczy, które się wykluczają.

B: Mamy ostatnią część, taką bardziej ogólną. Będę pytać się temu jak Pani rozumie gościnę i będziemy się temu przyglądać z różnych stron. Pierwsze pytanie jest takie: Czy każdy, kto wchodzi do Pani do domu, jest gościem?

R: Dla mnie tak...

B: Czy sąsiad to też jest gość?

R: Dla mnie tak.

B: Czyli przekroczenie progu jest takim momentem.

R: Tak, ja go wtedy z szacunkiem zaproszę. Zapytam, czy ma jakiś problem, nie będę go trzymała w drzwiach. Usiądziemy i rozmawiamy o czymś. W tym momencie jest dla mnie absolutnie gościem.

B: A czy listonosz jest gościem?

R: Listonosz nie ma czasu tutaj wchodzić, więc on nawet nie przekracza drzwi. Nawet jak zapraszam, żeby podpisać coś, to oni tak biegną, że wręcz wykorzystują drzwi, jak im się otworzy. Ale gdyby wszedł to bym go tak traktowała. Kiedyś listonosz był jak taki gość. Pamiętam jeszcze w moim domu rodzinnym była taka

zasada, że jak pan listonosz wchodził, to robiło mu się herbatkę, a on siadał. Wiadomo, że oni maszerują, są zmarznięci, jak sobie usiądą na chwilę, to jest to miłą rzecz. Nasi w tej chwili po prostu biegną. To samo jest z kurierami. Ale oni dosłownie patrzą na zegarek! To jest pięć sekund! Miałam taką sytuację w szkole. Poszłam na górę skorzystać z toalety, ten pan przyjechał i rzeczywiście dzwonił, że za chwilę będzie. Ja nie pomyślałam, że on tak szybko będzie. Ja już schodziłam, a on już krzyczał, że nie może tak długo czekać. Pytam się go, dlaczego się tak denerwuje, przecież to jest jedna minuta. Powiedział, że dla mnie to jest jedna minuta, ale on ma urządzenie, które go kontroluje, nie pamiętam, jak się nazywa... To tak, jakbym ja sobie założyła smycz. Mogę żyć szybko, ale bez przesady. Te firmy się powinny zastanowić, bo w ten sposób się człowieczeństwo traci, on nie ma nawet czasu „Dzień dobry” powiedzieć.

B: A proszę mi powiedzieć, czy w [m2] ksiądz jest taką osobą, która przychodzi i jest goszczona?

R: No jest kolęda... Ja powiem Pani, że ja mam mieszane uczucia odnośnie tej kolędy. Ja bym inaczej widziała tę kolędę. Kiedyś, w okresie mojego dzieciństwa, ksiądz był bardziej przyjacielem rodziny. Więcej miał czasu na tę rozmowę. Teraz ksiądz, który mieszka naprzeciwko mnie, widzi mnie codziennie, przychodzi na kolędę i mówi, że on ma tylko piętnaście minut na obejście bloku! A w bloku jest jedenaście rodzin! Opowiem Pani sytuację normalnej wizyty, kolędy... No właśnie ja nie wiem, jak to nazwać. Bo albo to jest kolęda i poświęca się sobie ten czas, pije się herbatę, rozmawia... Większość tych ludzi ksiądz zna z widzenia! Mój mąż, który był osobą bardzo wierzącą. W jego domu też była taka tradycja, że na przyjęcie księdza się bardzo elegancko ubiera. Na wizytę księdza ubierał się w garnitur, buty czyścił... Przed tą pierwszą kolędą, która się odbywała tutaj, gdy on się tutaj wprowadził, uprzedziłam go, żeby nie był rozczarowany, bo tutaj ksiądz wpada i wypada. Szkoda tych przygotowań. [imię męża] nawet nie mieściło się w głowie, że mógłby w kapciach go przywitać. Oczywiście ksiądz wpadł, pokropił, zobaczył nową osobę, dopisał ją, po czym poleciał dalej. Mój mąż, który myślał, że porozmawia, posiedzi, zapyta... Ja tylko zobaczyłam jego buzię otwartą, popatrzył na mnie, popatrzył na biegnącego księdza... Na następny rok mój mąż postanowił, że on nie zmieni swojej tradycji i postara się tego księdza zatrzymać. Nie udało mu się. Tak było przez cztery lata. Nie udało się, a różni byli księża.

B: To jest dziwne, przecież można oczekiwać od księdza, że będzie chciał być tym naszym gościem chociaż na moment, przyjść, usiąść...

R: Ja już w tym momencie się przyzwyczaiłam i traktuję to jako naszą normalność tutaj, ale wiem, że kiedyś tak nie było. Pamiętam tego księdza stamtąd, gdzie mieszkali moi rodzice, który miał na wszystko czas. Nie było tego pędu. Widziałam też inne kolędy, w innych miastach, to wszystko niestety odbywało się podobnie.

B: Mi się wydaje, że to jest jednak tak, że ludzie są nastawieni na to, by kogoś ugościć. Jednak się przygotowują, wpuszczają kogoś do siebie do domu i chcą pokazać się od dobrej strony. Wtedy to jest tak, jakby oni byli niezauważalni, trochę bez szacunku... Mam takie wrażenie.

R: Ja bym powiedziała jeszcze bardziej dosadnie. Odbieram to jako obowiązek dla nich, który został im narzucony. Oni się tłumaczą z tego, że nie mają czasu. Widzą, inicjatywę, że ktoś chce rozmawiać; pyta się ich, czy napiją się kawy, czy może wody... Natomiast to wygląda tak, jak z tymi kurierami. Ja to tak odbieram już od jakiegoś czasu. Ale jest tak od wielu lat. Pamiętam jak moje dzieci były jeszcze mniejsze. One czekały z zeszycikami, to ze strony księdza to było „ciach!” i dalej leciał. Słyszałam, że nasz blok i tak ma dużo szczęścia. Może dlatego, że jest blisko, a jest też na samym końcu. Ale na pewno bym to porównała do tych kurierów. Mają wyznaczony obszar, ileś domów... Jak już ksiądz wyjmuje zeszyt, to ja już wtedy wypuszczam powietrze z siebie... Na początku tego nie czułam. Teraz jak ksiądz wyjmuje zeszyt i pojawiają się pytania – „A co się stało z tą osobą? A z tą?”. To są niekiedy trudne pytania. Niektóre tematy są bolesne... Może te pytania powinny być inaczej zadawane. Gdyby nie ten nieszczęsny zeszyt, to już ta wizyta byłaby inna. Gdybym ja to prowadziła, to zanim bym weszła do nowego domu, wyjęła bym kajet i zrobiła notatkę z poprzedniej rozmowy. Nie robiłabym tego przy tych osobach. Ja też często rozmawiam z rodzicami, niekie-

dy są to sprawy bardzo trudne, czasami rozmawiam z dziećmi. Nie mogę wziąć książki i zapisywać relacje o np. przemocy. Nie wyobrażam sobie tego. To jest zupełnie inaczej. Wiem, że to dziecko się automatycznie zamknie. Na pewno pewne rzeczy trzeba opisać, ale zawsze później! Tak mi się skojarzyło, jak rozmawiamy o tych kolędach... To też jest rodzaj gościnności, jak ktoś wchodzi do mnie do pracy. Jak ja wchodzi do sekretariatu i tam jestem przyjęta, to też jest element gościny...

B: To jest bardzo ciekawe co Pani mówi, że ta gościna jest nie tylko w domu.

R: Tak, jeżeli ktoś do mnie wchodzi, niech mi Pani uwierzy, ja nieraz jestem zmęczona też. Zrobiłam ileś badań, przychodzi dziecko, które ktoś poibił...

B: W tych szkołach, do których Pani jeździ, ma Pani swój gabinet, w których Pani przyjmuje?

R: Tak, w dwóch szkołach mam. W tych małych szkołach mam udostępniane pomieszczenia, do których nikt nie ma wstępu. W tym momencie są drzwi zamknięte i wchodzi dziecko. Czy robimy badanie, czy tylko rozmawiamy. Są takie dziewczynki, które przychodzą porozmawiać o swoich sprawach, co ja na ten temat myślę. Na przykład zakochały się, a on nie chce z nimi rozmawiać.

B: To też są uroki takiej pracy, prawda?

R: Tak, ta część jest fajna, natomiast jest też część pracy, której nie chciałabym wykonywać. Największe przeżycie mojej pracy, to jak miałam wykład o stanach zagrożenia życia. Mówiłam o zatrzymaniu oddechu, o takich momentach, kiedy występuje to zagrożenie. Uczyłam ich o pierwszej pomocy całą klasę. Bardzo lubiłam tę klasę, bo to byli twórczy ludzie. Doczytali sobie chłopcy, czy ja im udzielę pierwszej pomocy. Dziewczyny i chłopcy wyszli na dwór. Ułożyli stertę plecaków. Jeden chłopak się specjalnie hiperwentylował. Tak odbierają sobie życie więźniowie. Zatrzymuje się wtedy powietrze, dochodzi do zamknięcia przepony, wtedy człowiek upada. Jak oni zobaczyli, że on się robi błąd i rzeczywiście ma objawy. On upadając, zamiast uderzyć w tę przygotowaną kupę rzeczy, uderzył prosto głową w te cegły. On nie miał oddechu, głowa jeszcze dostała uderzenie. Oni to wszystko sobie opracowali, poza wykonaniem. Oczywiście musiałam tam pobiec. Zobaczyłam, że to nie przelewki. Zobaczyłam, że tu trzeba szybko podłączyć kroplówkę, reanimować. Przyjechało pogotowie, były pełne objawy wstrząsowe, źrenice były nierówne... Wie Pani co mnie zastanowiło? Jak oni przybiegli ze śmiechem! Wołali: „Proszę Pani, nasz kolega umiera!”, łącznie z dziewczynami. Pytałam się czy naprawdę. Oni się już przygotowali, że będzie straż, która po mnie przybiegnie. Oni mi to potem wszystko ze szczegółami opowiedzieli. Jak ja już ochłonęłam, karetka zabrała tego chłopaka, usiadłam i zaczęłam kojarzyć pewne fakty. Najpierw przybiegła rozbawiona pierwsza grupka, a potem wystraszeni dwaj koledzy przybiegli, że ich kolega umiera. Rozbawione koleżanki wokół niego. Zaczęłam się zastanawiać skąd taka góra plecaków... Przyszła do mnie wychowawczyni tej klasy mówiąc, że ma jakieś dziwne przemyślenia. Coś jej się tam nie podobało, że najpierw dwójka przybiegła rozbawiona, a potem przerażony chłopak. Ja dopiero tym drugim uwierzyłam. Wie Pani, dziewczyny były rozbawione... Oczywiście zrobiono dochodzenie. Zaczęli się potem powolutku przyznawać... Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, ten chłopak doszedł do tego, że rzeczywiście mógł umrzeć. On mi wszystko z detalami opowiedział, jak to się odbywało. Nikt się na początku nie przyznał, że to oni go źle asekurowali. Młodzież jest niesamowita... To, że oni się hiperwentylują, bo nie chcą iść na matematykę, to ja już wszystko widzę i wiem, o co chodzi...

B: To może ja teraz przejdę do następnego pytania...

R: Tak, tak, ja przepraszam. To jako ciekawostkę socjologiczną opowiedziałam.

B: Dobrze, teraz już na pozostało tylko kilka pytań. Rozmawialiśmy o tym, że zaprasza Pani czasami też swoich znajomych w inne miejsca, ale zdarza się Pani, że utrzymuje Pani swoje kontakty przez Skype'a?

R: Chyba od jakiegoś czasu nie... Wcześniej tak... Powiem Pani uczciwie, że zepsuł mi się komputer i zapomniałam hasła do Skype'a (*śmiech*). Nie mogę go odzyskać, ciągle nie mogę znaleźć czasu, żeby to zrobić. Moja przyjaciółka żyła w Stanach, zginęła w wypadku, to była jedyna taka bliska forma kontaktu. Potem rozmawiałam jeszcze z jej córkami, one też mieszkają w Stanach...

B: A czy te kontakty, tak jak Pani pamięta, czy one miały jakieś aspekty goszczenia, czy nie bardzo?

R: No chyba tak, jeżeli moja przyjaciółka ustawiała ekran tak, żebym zobaczyła rzecz, którą ona zrobiła... Pokazywała mi to, co sobie kupiła, albo ja jej pokazywałam, że zrobiłam ptaki do ustrojenia tortu weselnego. Wydaje mi się, że to jest rodzaj goszczenia.

B: To bardzo ciekawa uwaga, nigdy nie myślałam w takich kategoriach... A co to znaczy, że ktoś jest gościnnie?

R: Tak krótko gdybym miała powiedzieć?

B: Taką swoją definicję.

R: To jest chyba stworzenie atmosfery, w której czuje się dobrze człowiek, który do mnie wchodzi. Nie tylko przygotowanie rzeczy materialnych, ale też żeby go potraktować z szacunkiem, żeby nie czuł się jak intruz. Obojętnie kto by to nie był. Ja przede wszystkim cenię szczerść. Tak jak nasze spotkanie jest dzisiaj dedykowane Pani zupełnie szczerze. Nie będę żałowała Pani czasu i nigdy nie będę też żałowała moim gościom. Szczerść, atmosfera, którą stwarzamy...

B: A co to znaczy być dobrym gościem?

R: Dokładnie bym to odwróciła, czyli przyjęcie z szacunkiem tego, co się dostaje. Też na pewno to, żeby to było prawdziwe na tyle, na ile mnie stać. Nie uważam też, że trzeba się zmuszać do uśmiechu wtedy, kiedy to nie jest prawdziwe. Właśnie taka prawdziwość. Ja tak zawsze odbieram i ludzi, i siebie. Chciałabym mieć takich gości i takim gościem być. Jest mi ciężko wysiedzieć, jeżeli na spotkaniu nie mam przyjaciół, osób, z którymi mogę szczerze porozmawiać, albo nie wiem o czym... Ale przeważnie w rozmowie szukam jakichś wątków, jakiejś nici... Tego chyba nawet do końca nie można opowiedzieć, to jest takie intuicyjne. Czasem nas intuicja bardziej prowadzi, a czasem nie. Można mieć zły dzień. Na pewno nie jestem ideałem. Mam też dni, kiedy jestem zmęczona. Czasami moja córka mówi, że mam za duże wymagania. Pewnych rzeczy nie lubię i nie akceptuję. Są rzeczy, które mnie męczą... Nie lubię bardzo ostrych dźwięków, krzyków, awantur. To są takie rzeczy, przez które potrafiłabym wyjść, nawet będąc gościem. Miałam takie sytuacje, że wychodziłam.

B: A czy zgadza się Pani z powiedzeniem „Gość w dom, Bóg w dom”?

R: Tak zostałam wychowana...

B: Co to znaczy według Pani? W kontekście tego, jak została Pani wychowana?

R: Boga szanujemy, jest to najważniejsza w religii osoba, którą szanujemy, gloryfikujemy... Staramy się dla niej bardzo, ale wiemy, że ona wymaga. To jest proste dla mnie. Mam bardzo szanować tę osobę, którą przyjmuję, bo ona jest bardzo ważna dla mnie.

B: Czy uważa Pani, że Polacy są gościnnym narodem?

R: Ogólnie tak, spotkałam się z różnymi nacjami i wiem, że bywa różnie. Wiadomo, że wyjątki są wszędzie... Miałam taką ciocię, do której jak wchodziłyśmy z moją mamą, to ona nam nigdy nie zaproponowała herbaty, niczego... Mogła posiedzieć, ale dawała do zrozumienia, żebyśmy już poszły. Byłam też leczona w

[duże miasto w woj. wielkopolskim], moja mama ma tam swoją rodzinę. Tam właśnie wspominam najmniej miło. Pamiętam też takie sytuacje, jak moja babcia, kiedy przyjechałyśmy do niej w czwórkę, z siostrami; ona miała w kieszeni jednego cukierka, tego cukiereczka, pamiętam do dzisiaj, podzieliła na cztery równe części. To jest to, o czym rozmawiamy – *Gość w dom, Bóg w dom*.

B: A proszę mi jeszcze powiedzieć o tym, o czym rozmawialiśmy na początku, że obserwuje Pani zmiany w gościnności. Czy to, jak Polacy rozumieją gościnność, zmieniało się przez lata? Czy coś się takiego zmieniło w tym rozumieniu gościnności?

R: Myślę, że tak, ilościowo przede wszystkim.

B: Ilościowo? W jakim sensie?

R: Ilość przygotowywanych potraw... Może nie te uroczystości typu wesela i komunie. Ale to mnie bardzo martwi, że jest „Zastaw się, a postaw się”. Wynajmuje się lokale... Jest taki rodzaj konkurencji. Moja mama by tak zrobiła, że jeżeli nie byłoby jej stać, to by się nie zadłużyła. Każda z nas też by to rozumiała. Dlaczego o tym mówię? Kiedyś to było bardziej proste. Komunia to była komunie. Nie było tego przygotowywania przez dwa lata, wynajmowania lokalu... Moja wnuczka mi na przykład opowiada, że jej koleżanka ma jakiś ulubiony lokal, na jej komunii będzie sześćdziesiąt osób. Ja pytam, czy ona się tym przejmuje, że my to robimy w domu, skromnie. Czy ona rozumie w ogóle zasadę, że ona nie idzie do komunii po to, by zebrać ogromną ilość pieniędzy i pochwalić się koleżankom. Ona mówi, że też to rozumie, nawet koleżance to mówiła. Myślę, że pod tym względem Polacy nie nauczyli się tolerancji. Rozumiem, kogoś, kogo stać na to, chce pokazać przyjęcie typu cygańskiego. Ja nie zazdroszczę, rozumiem, że zarobił i ma, jak chce, to niech zrobi w ten sposób. Ale powinien nauczyć to dziecko szacunku do innego dziecka. Moja wnuczka jest jeszcze na takim poziomie, że zrozumie reakcję tego dziecka. Ale są dzieci, które naprawdę nie mają. Często jak odbieram wnuczkę, to wiem, że u niektórych nie będzie przyjęcia. Dzieci o tym rozmawiają, rodzice rozmawiają o tym przy dzieciach. Nienawidzę palenia na przyjęciach, wychodzę stamtąd, gdzie się pali. Jeżeli towarzystwo byłoby bardzo po alkoholu, to też wychodzę. To są takie rzeczy, których nie jestem w stanie przeskoczyć.

B: Chciałabym jeszcze wrócić do tych zmian i do tego „Zastaw się, a postaw się”. Jak Pani myśli, co jest pod spodem? Co my, Polacy, mamy takiego?

R: Pocerstwo.

B: A czemu to ma służyć?

R: Nie wiem, może żebyśmy się lepiej czuli... Nie wiem... Ja uważam, że jeżeli człowiek jest na tyle dowartościowany i zna swoją wartość, to myślę, że takich rzeczy nie będzie robił. A jeżeli rzeczywiście kogoś na to nie stać, a chce pokazać, to chyba po pierwsze to nie jest prawdziwe.

B: A to już wyklucza pierwsze Pani kryterium gościnności. Czyli to, że nie jest to szczere.

R: Gdybym była zaproszona na takie przyjęcie... Chociaż u nas nie było takiej sytuacji, że ktoś brał pożyczkę na wesele, a takich było dużo. Moja mama wydała nas wszystkie za męża, wesela były różne, ale rodzice nigdy się nie zadłużali. I to chyba też moje siostry mają, żadna z nich nie brała pożyczek. Powiem Pani, że gdybym była zaproszona na takie przyjęcie, o którym wiedziałabym, że na jego wyprawienie została wzięta duża pożyczka... Nie wiem, czy troszeczkę telewizja nie potęguje takiej tęsknoty do pokazania się. Tak ja myślę. Tam się pokazuje te piękne suknie. Ja nie oglądam, ale czasem moja córka ogląda. Nie wiem dlaczego, zawsze się jej pytam. Jest taka tancerka, która pomaga przygotować imprezy weselne na ostatnią chwilę. Tam między innymi są suknie, które ona wybiera. Była taka sytuacja, że ja coś robiłam, a moja córka to oglądała; była tam taka sytuacja, że pani kupiła sobie dwie sukienki, natomiast prowadząca stwierdziła, że te sukienki są zbyt skromne i nie są dla niej. Rozumiem, że mogę nie mieć gustu, bo nie mam. Moje siostry mają, moja mama przepięknie maluje, moja córka to odziedziczyła. Ja natomiast tego nie mam, muszę ko-

rzystać czasem z podpowiedzi... Mówię o takich dekoracjach. Moja wnuczka na przykład tę świeczkę obwiązała sznurkiem. Mówi: „Widzisz Babciu, jest od razu inaczej”. Podoba mi się to, ale chyba bym nie wymyśliła. Nie mam tego daru, nawet do ubrania samej siebie. Nigdy się nie malowałam, raz w życiu byłam pomalowana. Koleżanki zrobiły mi niespodziankę i zrobiły mi makijaż. Pracowałam wtedy z taką panią doktor, którą bardzo lubiłam. One wykorzystały przerwę i jak ta pani doktor mnie zobaczyła, to spojrzała na mnie, zamknęła oczy i poprosiła, żebym poszła się umyć. Ja oczywiście siebie nie widziałam. Dopiero jak spojrzałam na siebie w lustrze, stwierdziłam, że wyglądam jak stwór! To jest tak samo, jak z przyjęciem gości. Nie mogę ubrać jakiejś maski, tylko ona musi być moja własna.

B: Czyli nie ma Pani dwóch wersji siebie? Ja to nazywam wersją eksportową i wersją lokalną (śmiech). Widzi Pani jakiś rozdźwięk pomiędzy sobą, jak Pani przyjmuje gości, a jak jest Pani sama?

R: W sensie jak jestem odbierana przez gości?

B: Bo mówi Pani, że lubi być Pani sobą...

R: Lubię.

B: Tak, że nie staje się Pani kimś innym?

R: Nie...

B: Bo mam czasem wrażenie, że w niektórych polskich zwyczajach to działa na zasadzie „zastaw się, a postaw się”, ale też na zasadzie pokazania się, jakim to się nie jest lepszym...

R: Nie, ja nie jestem lepsza... Uważam, że jeszcze dużo powinnam nad sobą popracować. Może nie w kwestiach gościnności... Staram się, bardzo się staram, jeżeli chodzi o systematyczność, ja jestem bardzo spontaniczna. Brakuje mi stuprocentowego poukładania. Moja przyjaciółka, jak robi przyjęcie (czego ja nigdy nie robię, to bierze dużą kartkę, na której z jednej strony ma dokładnie napisane, ile będzie osób, jaki będzie czas przyjęcia; potem robi menu, z niego bardzo dokładną listę zakupów. Ja jestem spontaniczna, wejdę do sklepu, coś zobaczę i stwierdzę, że bardzo dawno czegoś nie robiłam... Potem przyjdę do domu, zobaczę co mam zamrożone i z tego tworzę. Jestem właśnie taką osobą i czasami brakuje mi czasu... Ale nie spóźniam się nigdy! To też jest taka rzecz, którą wyniosłam z domu. Nawet na przyjęcie nie pójść dużo za wcześnie, nie lubię do kogoś wpadać przed czasem, ale też nigdy się nie spóźnię. Wiem, że jak sama przygotowuję potrawy, to wiem, kiedy je włączam i wiem, ile czasu to trwa; potem jak to stoi i stoi, a mamy jeszcze na kogoś czekać... Takich błędów staram się nie popełniać, a wiem, że to są takie drobiazgi. Ale jestem spontaniczna. Zapalę się i koniec. W pracy jestem zresztą taka sama...

B: Jeszcze mam takie ostatnie pytanie, przyszło mi teraz do głowy. Mówiła Pani o tym, że Pani przygotowuje i przychodzą ludzie do Pani, albo do kogoś Pani idzie, a są takie sytuacje, że wspólnie się przygotowuje spotkanie? Z przyjaciółkami?

R: Z rodziną bardziej.

B: Razem się przygotowuje, gotuje?

R: Dokładnie. Jak są takie niezobowiązujące spotkania, grille. Ja zrobię sałatkę i coś jeszcze, koleżanka też coś przyniesie... Albo ja piekę, bo znajomi wiedzą, że ja bardziej lubię piec niż gotować...